

MARIA KONOPNICKA

W październiku br. mija 40 lat od zgonu Marii Konopnickiej, która w ciągu 40-letniej ewej twórczości poetyckiej opisywała dolę ludu, jego tęsknoty i bóle, sieroctwo i krzywdy. I dzięki temu wielkiemu umiłowaniu chłopów i robotników „Pana Balcera w Brazylji” dotarła pod strzechy. Jej popularność wśród ludu była tak wielka, że gdy w 1902 roku obchodzono 25-lecie twórczości w Krakowie, delegacja chłopów krakowskich i górali stanowiący główną masę uroczystości jubileuszowej. Urodzona w Suwałkach w 1842 roku popadła szybko w konflikt z wia-

literaturze polskiej i dziś stanowi osobną lekturę w szkołach.

Walcząc bezkompromisowo z każdą niesprawiedliwością i krzywdą, nie zyskała sobie Konopnicka sympatii w tzw. „miarodajnych” kołach społeczeństwa polskiego. Zarzucano jej, że „na śpiewnej lutni usi- huje wygrywać wstępne arty- kuły społecznego dziennika” (krytyk St. Kozłowski w 1901 roku), że jest to „buntownica dumna i groźna”. (Teodor Je- ske Choiński w 1880 roku).

Znaczenie twórczości Konop- nickiej dla narodu wzrastało w miarę narastania krzywd i nie- prawości społecznej w miarę zbliżania się burzy rewolucyj- nej. Gdy nastąpiło zwycięstwo rewolucji, której nadejście roz- umeiała Konopnicka pisząc

Lud co się sam nie zbawi
Pozostać rabem musi.

twórczość jej wiązana zo- stała do skarbnicy poezji rew- olucyjnej.

W Związku Radzieckim ukaza- ło się wydanie zbiorowe jej pism, a wysoką ocenę jej twórczo- ści dał krytyk radziecki Walerian Afcimowicz. Konopnicka znała narody słowiańskie na Bałkanach, zna ją i czci Czecho- słowacja, a w wolnej Polsce, jak pisze „Trybuna Ludu”, twórczość Konopnickiej jest dziś ukochaną przez ludzi pra- cy. Pamięć wielkiej pisarki o- toczona jest czcią należną wielkim umysłom i sercom, wielkim twórcom naszej prze- szłości. Wolna Ludowa Polska urzeczywistniła marzenia, tę- sknoty i ideały życia wielkiej pisarki.

Fr. H.



Maria Konopnicka

dzami carskimi i utwory jej na terenie Królestwa Kongresowe- go ukazywały się pod pseudoni- mem Jana Sawy.

Ogarniając szerokie horyzonty swego narodu, najgłębiej i najwnikliwiej umiała wczuć się w rolę robotnika i chłopca. Któż nie zna jej utworów: „Jaś nie doczekał”, „Bez da- chu”, „W piwnicznej fźbie”, „W sobotni wieczór” lub „Wolny najmita”, tej prostej wykładni biedy chłopskiej:

Czegoż on stoi? wszak wolny
jak ptacy?

Chce niech żyje, a chce niech
umiera,

Czy się utopi, czy chwyci
się pracy

Nikt się nie spiera...

Wszechogarniająca miłość
narodu zacerpnięta u Mickie-
wicza, gdy mówiła:

Ja będę latać jako ptak
zraniony,

Nisko nad ziemią tą co w
bólach kona,

Bym mogła objąć z miłością
w ramiona

Smutnych miliony.

Jej postawę społeczną, klaso-
wą, coż lepiej odzwierciedla
niż ów popularny wiersz:

„A gdy poszedł król na
wojnę

kiedy to
najdłużniej błę króle
a najgłębszej ginę chłopcy...

Konopnicka nie znała w zna-
czeniu dziesiątego walki klas,
nie była rewolucjonistką w na-
szym rozumieniu, ale w twórczo-
ści swej posiadała wszystkie
elementy tej walki klaso-
wej i twórczością swą wsparła
rewolucję społeczną.

Pisała ona:

Idźcie czas, w którym wśród
burz i zawiei

Nim świt zwycięży noc
mroczną

Po jednej wlezie i jednej
nadziei

Ludy poznawać się poczną.
(Braciom Czechom)

W poczuciu historycznej ko-
nieczności walki o lepsze ju-
tro Maria Konopnicka stwarza
wspaniałe eposy chłopstwa pol-
skiego w swym wielkim cu-
dnym poemacie „Pan Balcera w
Brazylji” godnym stanąć obok
„Pana Tadeusza” Opowieść
jest włożona w usta „Pana”
Balcera, kowala, wychodźcy,
jednego z tych którym się zda-
wało, że znajdują na przybyciu
do Brazylji nowe, lepsze życie.

Topnieją tam jednak w uści-
skach chorób, nędzy i głodu.

Do jednej z najpiękniejszych
kart poematu należy scena,
gdy zawiedzeni i oszukani
biorą udział w demonstracji ro-
botników brazylijskich i ataku
na giełdę.

Z umiłowania ludu wypłynęło
jej wielkie ukochanie dzieci.

Jej twórczość dla dzieci zaj-
muje najpiękniejsze karty w

NAUKA POLSKA PRZED WIELKIM KONGRESEM

HENRYK BARAŃSKI

pełni czynnych naukowo ze-
względem na brak lokali i urzą-
dzenia, a 78% ze względu na
brak personelu. Procent ten
jest dla Poznania wyższy, bo
wynosi 85% zakładów zdolnych
do pracy badawczej i tyleż pro-

— 72%, Lublin — 69%, a da-
lej idą Warszawa — 67%,
Wrocław — 65%, Toruń — 63%,
i Gdańsk — 55%. Może wy-
niki ankiety są nieścisłe, przy-
padkowe, niedoskonałe, ale
stwierdzenie przodownictwa

Pierwszy Kongres Nauki
Polskiej odbędzie się nie,
jak początkowo projektowano,
w roku bieżącym. Termin zo-
stał przesunięty na rok przy-
szły. Prezydium Kongresu wy-
konawczego odroczyło datę
składania referatów przez pod-
sekcje z 30 VI br. na 31 XII br.,
to jest o pół roku. W związku
z tym Prezydium poleciło, aby
wszelkie naukowe zjazdy przed-
kongresowe zakończone zosta-
ły do 30 listopada br.

Nie spodziewano się począt-
kowo, że prace przedkongreso-
we nabiorą tak wielkiego roz-
machu, jak to daje się obecnie
zauważyć, że tylu naukowców
polskich włączy się w prze-
budowę stylu pracy naszej
nauki.

Czynnych jest 11 sekcji i o-
koło 60 podsekcji, obejmują-
cych wszystkie dziedziny wie-
dzy ludzkiej. Widzimy więc, co
za ogrom pracy stoi przed uc-
zonymi polskimi!

Na terenie całego państwa
naukowcy w sposób planowy
i zorganizowany wizytują za-
kłady naukowe, zaznajamiając
się na miejscu ze stanem i mo-
żliwościami poszczególnych
placówek badawczych.

Poznań wysuwa się na czoło

Niedawno przeprowadzona
została ankieta, która dotyczy-
ła produktywności naszych za-
kładów uczelnianych. Jeżeli
chodzi o Poznań, wyniki anki-
ety są bardzo ciekawe. Okazuje
się, że poznańskie wyższe
uczenie i zakłady posiadają
najlepsze warunki do pracy
naukowo-badawczej. Tymcza-
sem Kraków, miasto, które pra-
wie nie ucierpiało w czasie
wojny, ma 79% zakładów w



Uniwersytet Poznański Fot. E. Kitzmann

cent, tj. 85, ze względu na po-
siadany personel. Uwzględnia-
jąc wszystkie warunki potrzeb-
ne do pracy, Poznań procento-
wo zajmuje pierwsze miejsce,
bo ma 77%, gdy Kraków do-
piero drugie — 75%. Na trze-
cim miejscu znajduje się Łódź

Poznania jest niewątpliwie. Zo-
bowiązuje to poważnie naszych
naukowców.

O naukę bliską życiu

Przebudowa nowego stylu
pracy odbywa się w ściślejsz-

łączności z wykonaniem planu
6-letniego. Założenia tego pla-
nu i zagadnienie kadr przed-
stawione na IV i V Plenum
KC PZPR silnie akcentują za-
dania, jakie przypadają zakła-
dom naukowym szkół akade-
mickich i instytutom naukowo-
badawczym. Podniesienie pro-
dukcji przemysłowej i rolnej
Polski Ludowej na wyż-
szy poziom techniki u-
porządkowanie całego kultu-
ralnego dorobku nauki polskiej
jest celem i zadaniem przedkon-
gresowych prac badawczych.

Naukowcy polscy zajmują
szczególnie ważną pozycję w
ogólnej hierarchii wykonaw-
ców planu 6-letniego. Zadanie
ich polega na upowszechnieniu
nauki, aby ona nie rozwijała
się w oderwaniu ludzi produk-
cji, od nowoczesnego poglądu
na świat i zadań ustroju demo-
kracji ludowej.

Wrz z powstaniem w Polsce
Państwa Demokracji Ludowej,
— co jest, jak wiadomo —
formą przejściową do socjaliz-
mu, zamknięta została era szko-
dliwego indywidualizmu i ode-
rwania od życia nauki polskiej.

„Uczni polscy — jak
stwierdza wiceminister E.
Krassowska — podjęli do-
niosłe i przełomowe zadanie
w pracach przygotowawczych
do Kongresu. Rozpoczęli wal-
kę o nową naukę, ściśle
związaną z życiem narodu,
o naukę, łamiącą wszystko,
co stare, przeżyte, naukę od-
ważnie współdziałającą ze
wszystkimi, co nowe w życiu
Polski Ludowej.”

Ważne zagadnienie: praca kolektywna

W związku z przebudową
systemu pracy nauki polskiej
wyłoniła się potrzeba stworze-
nia zespołowych katedr jako
instytutów wyższego rzędu. W
katedrach zespołowych młodzi
pracownicy nauki uzyskują
oparcie o większą, silniejszą
grupę badaczy. I tu dotykamy
mieszychanie ważnego zagad-
nienia kształtowania się no-
wych kadr naukowców pol-
skich w myśl wskazań Komite-
tu Centralnego Polskiej Ziedo-
noczonej Partii Robotniczej
Sprawa ta wymaga jednak spe-
cjalnego omówienia.

W całym kraju odbywa się
obecnie akcja unifikacyjna ka-
tedr indywidualnych i organi-
zowanie zespołowych. Tworzą
się międzyuczelniane instytuty
naukowe. Pozwoli to oderwać
się od dotychczasowego prze-
starałego schematycznego po-
działu na wydziały, uczelnie
i dyscypliny.

Kongres już trwa

Na jednej z dyskusji przed-
kongresowej powiedziano, że
właściwie Kongres już się od-
bywa prawie od roku, bo czym-
że innym są intensywne prace
poszczególnych sekcji i pod-
sekcji. I słusznie. Od początku
działania prac przygotowaw-
czych odbyło się ogółem 303
posiedzenia, w tym sekcje
miały 43, zaś podsekcje 260
posiedzeń. Zgłoszono referaty ze
wszystkich dziedzin wiedzy.
Oficjalny Kongres w roku przy-
szłym będzie w rzeczywistości
sprawozdaniem z prac dotych-
czasowych, podsumowaniem
dorobku. Po Kongresie sekcje
i podsekcje nie rozwiążą się,
lecz pracować będą nadal. Mo-
że zmienią formę i skład oso-
bowy, ale kontynuować będą
zaczęte prace. Być może staną
się z początkiem „nowego” na-
uki polskiej. W każdym razie
dziś spełniają niezwykle waż-
ną rolę, gdyż zwiększają udział
pracowników naukowych w
wielkim, epokowym dziele, jak-
że realizuje nasz naród —
plan 6-letni.

Są to zadania na miarę ca-
łego pokolenia, które potrzebu-
ją bohaterów pracy: budowni-
czych „Nowej Huty”, ale obok
ludzi produkcji muszą wziąć
udział w budowie Polski Socja-
listycznej — ludzie nauki. Z
intensywnych, prowadzonych z
zapamiętanym, widzimy, że na-
ukowcy czynnie włączają się
do dzieła całego narodu.

Maszyny wytwarzające sztuczny deszcz

Inż. W. Bielajew, biorący udział w wielkich meliora-
cjach wodnych w Związku Radzieckim, zamieścił na la-
mach czasopisma „Technika dla młodzieży” interesujące
dane o stosowaniu sztucznego deszczu w miejscowości-
ciach ubogich w opady atmosferyczne. Jest to jeden z od-
cinków walki z posuchą, prowadzonej na coraz większą
skale w Związku Radzieckim.

Oto co pisze inż. W. Bielajew:
Dwa elementy gleby są nie-
odzowne dla rozwoju rośliny:
woda i składniki odżywcze.
Roślina czerpie wodę z ziemi za
pomocą korzeni, nieznaczne jej
części zużywa na budowę tkanki,
a najwięcej wyparowuje.
Ponieważ owo wyparowywanie
jest dla rośliny tym, czym dla
człowieka oddychanie, odpo-
wiednia ilość wilgoci zapewnia
roślinie szybki rozwój i dojrze-
wanie. Wilgoć ta musi się znaj-

wieźć nad glebą, przyczynia-
jąc się znakomicie do poleps-
zenia klimatu. Sztuczny deszcz
zastosowano w Rosji po raz
pierwszy w roku 1875. Uczony
G. I. Aristaw, wynalazca tej
metody, przyczynił się do 5-
krotnego wzrostu plonów. Sto-
sowanie sztucznego deszczu na
zachodzie Europy pojawiło się
dopiero w latach 90-tych ubieg-
łego wieku, nie dając zresztą
większych rezultatów.

W Związku Radzieckim ist-
nieje Wszechzwiązkowy Insty-

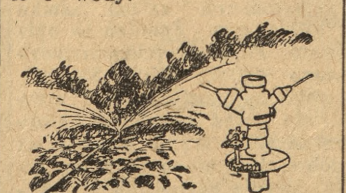
3 typy aparatów wytwarza-
jących sztuczny deszcz znajdu-
ją szerokie zastosowanie w rolni-
ctwie radzieckim. Są to: jedno-
strugowy „S. D. U.”, krótko-
strugowy „K. D. U.” i typ naj-
nowszy, dalekostrugowy, zmo-
toryzowany „D. D. U.—48”.

Aparat pierwszego typu
„S. D. U.” składa się z dwóch
skrzydeł zraszających — 50 m
długości każde. Dźwignia hy-
drauliczna umieszczona w cen-
trum, wprawia skrzydła w ruch
wkrąg umieszczonej pod nimi
osi. Na skrzydłach znajdują się
wyloty na wodę w odstępach
półmetrowych. Struga wodna,
wydobywająca się przez te wy-
loty ma 7 m długości. W ten
sposób z jednej pozycji maszy-
na „S. D. U.” zrasza powierzch-
nię 1400 m². Jest to jednak ur-
ządzenie niewydajne, używa-
ne do polewania niewielkich
objektów, szkółek, inspektów,
kwietników itp.

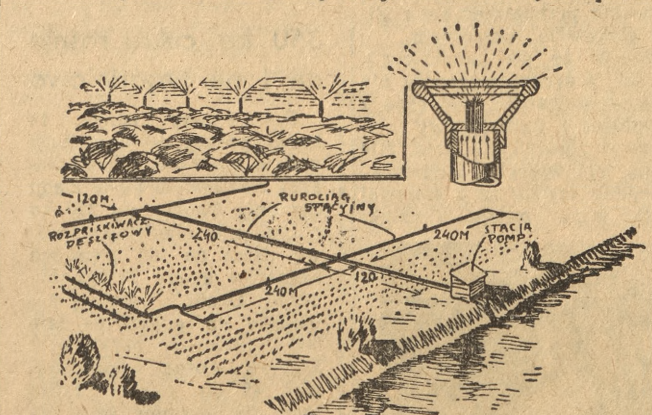
Krótkostrugowy „K. D. U.”
jest maszyną wygodniejszą, a
przede wszystkim posiadającą
większy zasięg zraszania 3 do
4 ha na dobę. Zbudowany jest
na podobnych zasadach jak
„S. D. U.”, z tym, że skrzydła
jego są dwa razy dłuższe niż
maszyny „S. D. U.”. Najnowszy
typ maszyny zraszającej, dale-
kostrugowej „D. D. U.—48”
posiada daleki zasięg strugi wo-
dnej i używany bywa do pole-
wania pól i upraw przemys-
lowych.

Wszystkie wyżej wymienione
maszyny obsługują przede
wszystkim objekty małe i śre-
dnie.

Dla zraszania większych po-
wierzchni używa się zmotory-
zowanych DM—40 i DM—80.
DM—40 zrasza 3200 m² z jed-
nej pozycji, zużywając na to
40 l³ wody.



D. D. U. - 48 urządzenie daleko-
strugowe. Na prawo schemat
aparatu roztryskującego wodę



K. D. U. maszyna zraszająca krótkostrugowa, pracuje w oparciu o stację pomp i rurociągi doprowadzający wodę pod ciśnieniem. Sztuczny deszcz wytwarzany przez tę maszynę jest znacznie rzadszy od deszczu wytwarzanego przez urządzenie strugowe (S. D. U.)

dować nie tylko w glebie, ale
i w powietrzu, dlatego też oko-
lice posiadające obfite opady
atmosferyczne są zwykle uro-
dzajniejsze od rejonów pozbaw-
ionych deszczu przez wiele
miesięcy w roku.

Najlepszym sposobem walki
z posuchą jest stosowanie
sztucznego deszczu. Ten rodzaj
zraszania nie wymaga kosztow-
nej i trudnej do przeprowadze-
nia sieci nawadniającej, która
na terenach nierównych często
nie spełnia swego zadania, a
prawie zawsze narusza natural-
ną strukturę gleby.

Sztuczny deszcz zwilża nie
tylko ziemię, ale i warstwę po-

tut Naukowo-Badawczy do
Spraw Hydrotechniki i Meliora-
cji. Instytut ten przeprowa-
dza niezwykle ciekawe do-
świadczenia w Azji Środkowej,
na Ukrainie, Krymie, w północ-
nym Kaukazie i w centralnych
czarnoziemnych rejonach. Ma-
teriały zebrane w czasie tych
prac pozwalają rozwiązać szere-
g zagadnień związanych z
problemem nawodnienia gleb
ubogich w wilgoć.

Przodujące kolechozy i sowa-
chozy radzieckie wprowadzają
w życie wskazania swoich na-
ukowców, podnosząc urodzaje
i zwalczając ryzyko towarzy-
szące dotąd produkcji rolnej.

Zabawki dziecinne pod mikroskopem

Lecz sprawa zabawek posiada i inny, dużo poważniejszy aspekt. Chodzi mianowicie o zagadnienie ich higieny, zagadnienie czystości.

Powinniśmy przyjąć zasadę, nieodzowną dla zdrowia naszych dzieci, że zabawka bezwzględnie wymaga wody z mydłem (o temperaturze co najmniej 50°). Nie myła bowiem, pozbawiona naszej specjalnej dbałości, prędzej czy później stanie się groźną dla zdrowia dziecka.

Jeżeli chodzi o dzieci najmłodszą — ich zabawki powinniśmy utrzymywać w identycznej czystości jak smoczki do butelek. Nie podajemy jako przykładu smoczków zawiązanych na kółkach, gdyż dawno już zostały one uznane przez wszystkich lekarzy-pediatrów za zbędne, a nawet szkodliwe akcesoria niemowlęstwa.

Problem czystości zabawki łatwiejszy jest do rozwiązania w warunkach żłobków i przedszkoli, naturalnie jeżeli zabawka, aczkolwiek jest przedmiotem wspólnego użytkowania wielu dzieci — znajduje się stale pod pieczą wykwalifikowanej higienistki. W pewnych jednak określonych okolicznościach, zarówno w domu jak i w przedszkolu, w parku czy w żłobku, zanieczyszczona zabawka staje się rozsądkiem chorób infekcyjnych, roznosicielem bakterii.

Unikać pluszów i szmacianek

Trzeba tutaj zaznaczyć, że możliwość zakażenia zabawek w dużej mierze zależy od materiału, z którego je sporządzono. Najodporniejsze na zakażenie i najłatwiejsze do dezynfekowania czy oczyszczenia okazały się zabawki celuloidowe, następnie drewniane, dalej gumowe. Najłżejsze siedliska zarazków gromadzą się na zabawkach tzw. „miękkich”, wykonanych z sukna, wełny, sierści itp.

Higienistki radzieckie przeprowadziły w tej dziedzinie szereg interesujących doświadczeń. Zabrudzone zabawki o-

wszyscy niemal rodzice muszą się przyznać, że zagadnienie zabawek — aczkolwiek nader istotne w życiu każdego dziecka — przeważnie całkowicie lekceważą. Zabawka interesuje rodziców tylko, jeśli dzięki niej zdobywają upragnione chwile spokoju, gdy rączki Jasiów, Kaś i Tomków zapełniają się skarbnymi w postaci wymyślnych grzechotek i lalek, kolorowych klocków i kolekcji zwierzątek mniej lub więcej przypominających swoje oryginały. O istnieniu zabawek przypominamy sobie również wtedy, gdy trzeba je zebrać, bo są z premedytacją powyrzucane z łóżeczek i wózków, lub poroznoszone po całym mieszkaniu przez „pracowite” dziatki.

Przykrejsze bywają spotkania z zabawkami zza witrażu sklepowych, kiedy to zmuszeni jesteśmy — i to nie zawsze z powodzeniem, przekonywać zachłanne pociechy, że nie możemy nabyć całej zawartości sklepu, bo coby zostało dla innych malców w Poznaniu...

kazały się zbiornikami drobnoustrojów, takich jak streptokoki, staphilo-streptokoki, pałeczki okrężnicy itd.

Dla przekonania się, jak szybko ulega zanieczyszczeniu zabawka w zależności od materiału, z jakiego jest wykonana, obserwowano „losy” rozmaitych użytkowanych zabawek. Po upływie jednej doby, dwu i dziesięciu dni badano roztwory, w których myto te zabawki. Stwierdzono, że ilość bakterii wzrastała z każdym dniem, a po dziesięciu dniach osiągała już poważne cyfry. Zgodnie z przypuszczeniami najwyższe cyfry osiągały zabawki „miękkie”.

Stopień zabrudzenia zabawki zależy również od wieku dzieci. Najmłodsze każdy przedmiot natychmiast wkładają do buzi, zaśliniają go, zanieczyszczają resztkami pokarmów itd. Starsze zaś mają mnóstwo innych sposobów, by zabawkę równie dokładnie wbrudzić. Dowiedziono jednak, że zabawki używane przez dzieci najmłodsze, charakteryzują się największą ilością zarazków.

Jedno dziecko — jedna zabawka

W związku z tym należy dążyć do tego, aby zupełnie małe dzieci korzystały jedynie z własnych zabawek z całkowitym wyeliminowaniem zabawek „miękkich”.

Higienistki radzieckie przeprowadziły odkażanie zabawek

25 cm od źródła promieni — zabawki drewniane odkażone były w 97,1%, gumowe w 96,2%, celuloidowe w 95,8%, a „miękkie” w 92,8%.

Stosowanie wyżej podanych metod możliwe jest oczywiście tylko w zakładach, które posiadają odpowiednie urządzenia. W naszych żłobkach i przedszkolach z dobrymi rezultatami przestrzega się wszelkich zasad higieny w odniesieniu do zabawek dziecięcych.

Wybierać celuloid, drzewo i gumę

Niech pamiętają o tym również matki i ojcowie, niech nie traktują zabawek jedynie jako wygodną wyрекę w zabawianiu swych dzieci. Zabawce należy się dbałość tak sama, jakiej wymagają inne sprawy, związane z racjonalnym wychowywaniem młodego pokolenia.

Dla informacji naszych czytelników podajemy, że gorąca woda z mydłem odkaża zabawki celuloidowe w 92,4%, drewniane w 88,6%, gumowe w 88,4%, metalowe w 85,4%, „miękkie” zaś, najmniej polecane — w 73,6%.

Wanda Bielawska

roznymi sposobami. Dezynfekowali je za pomocą roztworów chemicznych, lecz te niekiedy psuły zewnętrzny wygląd zabawek lub pozostawiały nieprzyjemny zapach.

Promienie ultrafioletowe w służbie higieny

Ostatnio rozpoczęli niszczenie zarazków znajdujących się na zabawkach promieniami ultrafioletowymi.

Sposób ten okazał się niemal radykalny. Po naświetlaniu przez pół godziny w odległości

CUKIER, CUKIER, CUKIER



Plantacje buraków cukrowych

Jesteśmy w okresie kampanii cukrowej. Do wielkopolskich cukrowni dostarczone zostały buraki cukrowe lub też dostawa ich jest na ukończeniu. Przyroda zdała w tym roku swój produkcyjny egzamin na bardzo dobrze. Rzeczą umysłu i rąk ludzkich jest, aby surowiec buraczany jak najkorzystniej przetworzyć w cukier.

350 kg cukru roślinie na 1 ha tygodniowo

Czy wiemy jednak, że każdy piękny dzień w lecie dodaje burakowi 1 gram cukru? Na jednym ha w ciągu tygodnia tworzy się 350 kg cukru, a w ciepłym, sierpniowym dniu na 100 tysiącach hektarów mamy 35 tys. ton cukru. Grunt normalnie nawożony na jednym ha daje 300 cetnarów buraków, z których można wyprodukować 45 ctr. cukru. Prócz tego otrzymujemy inne pochodne produkty, a między innymi 150 kg masy z 1 ha. Produkty pochodne buraka cukrowego jako karmia dla krów zamieniają się na 3—4000 litrów mлека.

Walczymy o najwyższą jakość

Nie trzeba chyba tłumaczyć, jakie znaczenie posiada cukier w życiu codziennym człowieka. Dzięki swoim właściwościom stanowi on również w gospodarce Państwa ważną pozycję eksportową i dlatego walka o jakość cukru należy do najważniejszych zadań naszych cukrowni. Literatura poświęcona cukrownictwu jest o-

gromna. Obejmuje ona przeszło 12 tys. pozycji, omawiających nie tylko sposoby produkcji cukru, lecz również choroby buraka cukrowego, jego gatunki i warunki gleby, na których wyrasta.

Dumą każdej cukrowni jest wyrobień krysztalu cukru, który swą wielkością i wagą załamby inne cukrownie. Nie wchodzi tu w rachubę te drobne krysztalki, jakie możemy kupić w handlu detalicznym. Wyprodukowanie natomiast wielkiego krysztalu jest sprawą bardzo znużną i skomplikowaną.

Krysztal gotowany przez... 16 lat

Trzeba do tego wielkiej masy cukrowej i cierpliwości, trwającej lata. Tworzy się to przez stopniowe wyparowywanie wody z nasyconej cukrem masy. Jeden z mistrzów cukrownictwa w Pradze czeskiej w ciągu 16 lat i 9 miesięcy i 12 dni osiągnął krysztal cukru wagi 5 kg. Okaz ten można było oglądać na Międzynarodowej Wystawie w Pradze.

Ścisłe z produkcją cukru związana jest sprawa dezynfekcji wody używanej do produkcji cukru, aby trujące zawartości jej nie wpływały zabójczo na stan rybny rzek. Woda z cukrowni spuszczana była dawniej do rzek bez środków zapobiegawczych i powodowała masowy pomór ryb. Obecnie stosowane są środki profilaktyczne i niebezpieczeństwo to w dużej mierze zostało opanowane. (b)



Jan Stanisławski — Obłoki (1904)

POETA PEJZAŻU

Jan Stanisławski — znany malarz pejzażysta ur. w 1860 r. (90 lat jego urodzin) odegrał w historii polskiego malarstwa peizażowego rolę wybitną.

Józef Chełmoński w roku 1909 pisał o swoim przyjacielu Janie Stanisławskim... „Na wskroś prawy i czyste serce, miał on w swoim charakterze wiele wspólnego z Mickiewiczem”. Czy było tak istotnie, nie trzeba pytać. Spójrzmy na malarstwo Stanisławskiego a przyznamy rację zacytowanemu zdaniu.

Stanisławski to poeta. Twórczość tego artysty stała się elementem nowych zasad i rozumienia wyrazu malarskiego. Stanisławski nie przyjął niczyjego „stylu”, a stworzył swój własny, a stworzył swoisty sobie środek malowania. Patrząc na „małenstwa” jego — przeważnie małych malowideł — odzyskujemy mimo to przestrzeń obrazu. Potrafił od razu i z temperamentem oddać malowany pejzaż, nie zmieniając raz nałożonego koloru, wierzył w swoją jakże często dziecinną wiarę.

Co u niego najbardziej ważne — malował prawdę, tak jak ją czuł. Środki malarskie zdają się być proste, i są takie w istocie, ale nim je posiadał wiele przeszedł etapów.

Co jeszcze u Stanisławskiego jest niezwykle — monumentalność i powaga. Unika wszelkiego efekciarstwa i tanioci, mimo swej prostoty jest silny i dojrzały artystycznie.

W słoneczny i pogodny dzień 24 maja 1860 roku w Olszanie urodził się Jan Stanisławski.

Ojciec jego, profesor uniwersytetu charkowskiego, poeta i tłumacz Boskiej Komedii, nie przeznaczył syna sztuce. Stanisławski junior studiuje i kończy Wydział Matematyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Po Warszawie wyjeżdża do Petersburga, gdzie wstępuje do Instytutu Techniczny, który jednak wczesnie opuszcza.

Czy Ukraina, Warszawa, otoczenie lub zwiedzane galerie skłoniły poważnego naukowca do malarstwa — nie wiemy. Wiemy, że kochał naturę, potrafił przez długie godziny patrzeć na fantastycznie oświetlone obłoki. Czasem rysował.

Rok 1883 — Stanisławski jest malarzem — w roku tym maluje pierwszy obraz „Opuszczony wiatrak”.

Nie uznaje malarstwa przyjętego przez Akademię Krakowską. Po studiach dwuletnich u Gersona i Łuszczkiewicza jedzie do Paryża (1885) gdzie przebywa przez lat 12 serdecznie przyjaźniąc się z Chełmońskim. Oczarowany malarstwem Maneta i Cesse'na staje zdecydowanie po stronie wymiewanego w owym czasie impresjonizmu.

W roku 1897, Stanisławskiego wita ziemia ojczyzna. Wracą po podróży z Francji i Włoch, z uznaniem krytyki zagranicznej, powołany przez Pałata do Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych na profesurę pejzażu. Zupelne zobojetnienie dla sztuki w kraju nie zraża mistrza. Z wielką energią zaczyna on realizować śmiałe plany tworzenia własnej polskiej szkoły malarstwa.

Stanisław J. Ewicz

Niespodzianki mistrza Stwosza

Wiele pisano o Stwoszu i jego krakowskim arcydziele. Nacmiał superlatyw wyrobił o rzeźbach mariackiego ołtarza trochę szkodliwe pojęcie, że są to rzeczy wielkie i piękne, które wypada podziwiać z największym szacunkiem, tak — jak się podziwiałaby zabytki, ustawione w cieniostych salach muzeów. Tymczasem Wit Stwosza widziany z bliska i bezpośrednio, zaskakuje świeżością. Tak, właśnie świeżością. A trzeba pamiętać że od chwili śmierci mistrza Wita mija już 417 lat. I rzecz dziwna: jeśli bliżej przyjrzymy się figurom, jeśli wnikiemy w szczególne ornamenty i tła — w ażeń to potęguje się i rośnie, a wyobrażenie zaczerpnięte z podręcznika szkolnego rozwija się bez śladu. Pozostaje samo dzieło, posiadające wiele cech realizmu, ciekawe i błękitnie nie tylko dla historyków sztuki.

Obserwując postacie, twarze, stroje... Taki jest początek narodzin figur i figurek z mariackiego ołtarza. Miękkie drzewo lipowe łatwo poddawało się ostrzu



Przyjrzyjmy się dokładnie głowie jednego z apostołów — ile w niej wyrazu i natchnienia! Zwłocmy uwagę na wyrazistość rysów twarzy, na dokładne wyrzeźbienie włosów i brdy. Takich twarzy jest w głównej części tryptyku dwanaście — każda mówi nam coś innego

dłuta, kierowanego wprawna ręką mistrza Wita. W pracowni rodzili się dewnianie odcienia żywych ludzi spotkanych na Rynku Krakowskim przez milczącego mężczyznę w ciemnej opończy. Rodziły się i postacie, ich twarze, ich stroje. Smiało to była myśl, jak na owe czasy — niemal świętokradzka. Przeniesienie mieszczkańskich postaci na ołtarz — toż to niemal profanacja! Ale cóż — cechą rzeczywistej sztuki jest właśnie życie w niej zaklęte. Rozumiął to mistrz Stwosza.

Umiał Stwosza dobrze życie podpatrzeć i chwycić je na gorąco. O realizmie jego sztuki mogą np. świadczyć wypowiedzi wybitnych lekarzy nam współczesnych, którzy obserwując twarze dwóch żołnierzy, wyrzeźbionych w ołtarzu Stwosza, mogli dokładnie określić chorobę, jakiej charakterystyczne symptomy podpatrzyli i utrwalił w drzewie artysta.

Przeprowadzone po wojnie i ukończone ostatnio roboty rekonstrukcyjno-konserwatorskie odkryły spoza starych przemałunków bogate oryginalne tło płaskorzeźb. Po usunięciu grubej warstwy farby napacykowanej w okresie późniejszym okazało się, że tło pokryte jest dobą robotą malarską, przedstawiającą przeważnie typowy dla średniowiecza krajobraz. I tutaj napotykaćmy znów na niespodziankę zadziwiającego majsterstwa Wita Stwosza. Kwiaty i rośliny, namalowane na drzewach ołtarza — szafy, możemy oglądać dziś, w naturze na naszych polach i łąkach! Ten fakt świadczący o wielkim realizmie uwiadamniającym się nawet w takich szczegółach, został również potwierdzony przez znawców botaniki.

Są to rzeczy nowe, odkryte w toku prac, prowadzonych w przestronnych salach zamku wawelskiego. Znużone to były prace, Poza odkryciem prawdziwego oblicza Wita Stwosza trzeba było zabezpieczyć arcydzieło przed kornikiem, który rozpanoszył się w drzewie na dobre. Uczyniono to przez zastosowanie gazowania i specjalnych zastrzyków. Przebieg tych prac, finansowanych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki,

ujrzymy na filmie, który nakręcił ostatnio filmowcy polscy.

Całość rzeźby została obecnie udostępniona publiczności, która może oglądać dzieło mistrza Wita wystawione na zamku.

Wystawa jest tym ciekawsza, że poszczególne części ołtarza zostały rozłożone osobno, tak że można przypatrzeć się z bliska ciekawym szczegółom.

Szkoda że po zmontowaniu całości te uroczyste szczegóły nie będą w większości widoczne z odległości i perspektywy normalnego położenia ołtarza. Nie mogły być widoczne i dawniej. A jednak rzeźbił je i malował wielki stary mistrz, a dzięki



Fregment rzeźby, przedstawiającej zaśnieżenie N. M. Panny. Cudnie wycezywane dłonie opadają bezsilnie. Plastik, uchwycenie ruchu i nadanie mu głębokiej wymowy — posunięte jest tutaj do doskonałości

nowoczesnej nauce dzieło jego przetrwa o wiele dłużej niż mógłby sobie Włt Stwosza pomyśleć. JANUSZ BINIEK

ZACMIENIE SŁOŃCA

Suthersam — odezwał się redaktor naczelny — cenię cię wysoko!
— I słusznym! — odpowiedział Suthersam.
— Dlatego więc — ciągnął Mr. Benson dalej — przekazuję cię dzisiaj na okres dni 14 redagowanie „Srebrnego Lwa”. Zmuszony jestem udać się do Saint Louis, na konferencję wydawców Środkowego Zachodu. Spodziewam się podczas mej nieobecności zwiększenia nakładu naszego pisma...
— Zrobi się — wycedził Suthersam.
— No i w związku z tym, powinno powiększyć się konto bankowe „Srebrnego Lwa”! Tym więcej, że zmuszony jestem podjąć tym razem 10.000 na konferencyjne koszty handlowe...
— Trochę dużo — zauważył Suthersam. Benson pominął uwagę milczeniem.
— Jeżeli będę z ciebie zadowolony, zajmę się sprawą twojego ewtl. udziału w przedsięwzięciu. Rób, by było wszystko w porządku!
— Rozumie się — odpowiedział Suthersam. — Zyczę szczęśliwej podróży do... Saint Louis!

stryktu, kiedy najbliższe będzie dopiero u nas za dwa lata. Położyłeś pismo, człowieku. Kompletna plajta!...
— Już ja coś nie coś rozumiam się na redagowaniu porządnego stanowczego pisma — wtrącił spokojnie Suthersam. — A porządna gazeta musi mieć



— Dziękuję! Czy bilety już nadeszły?
— Tak — odezwał się Suthersam — i ziewając z lekka dodał. — Omyłkowo rozewałem kopertę. 2 bilety wyplalne I klasy do Los Angeles. Uważam, że Western Pacific droższe z dnia na dzień.
— Do widzenia! — już zminiej powiedział Benson.
— Do widzenia — z nutką szyderstwa w głosie zakończył Suthersam.

— Ciesz się — mówił Suthersam do M. O. Brian'a — spotkałem w Panu człowieka, który nie żałuje czasu ani pieniędzy. (O. Brian sięgnął w tym miejscu do bocznej kieszeni), który nie żałuje pieniędzy ani czasu, aby stać się pionierem prosperity naszego dystryktu. Pańska fabryka papy dachowej w Beverly jest nową sprawą i do tego całkiem dobrą sprawą!

— Mr. O. Brian wyciągnął nareczenie portfel z kieszeni. Sprawa — powtórzył Suthersam z rosnącymżywieniem — która potężnie podprze naszą niezależną prasę w dystrykcie!...
— Mr. O. Brian otworzył portfel. Suthersam z zmuszonymi oczyma wpatrywał się w kolor złotych banknotów i ciągnął dalej.
— W ogóle jestem zdania, że prasa, która reprezentuje opinię publiczną, która wreszcie reprezentuje powszechny dobrobyt, jest syntezą.
— Syntezą — przerwał O. Brian.
— To zmartwienie zecera — spokojnie powiedział Suthersam... jest syntezą wszystkiego! Nasze pismo „Srebrny Lew” bądź Pan spokojny, zrobi wszystko co do niego należy!...

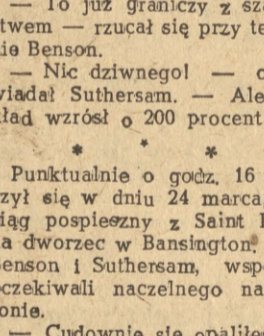
— Zamiejszcowa... mówił Los Angeles — zabrzmiało w telefonie.
— Szef! — pomyślał Suthersam. Drogą Benson telefonuje z wybrzeża Pacyfiku a tymczasem małżonka jego otrzymuje codziennie listy z Saint Louis.
— Hello — mówił w słuchawkę Suthersam. — Tu „Srebrny Lew”, redaktor Suthersam!
— Co? — warknął gniewnie Mr. Benson u drugiego końca przewodu telefonicznego.

— Co to za tłum? — pytał Mr. Benson, spoglądając przez okno, gdy tylko znaleźli się w biurach redakcji.
— W tej chwili jest godz. 15.15 — odpowiedział Suthersam. — To są właśnie ludzie, którzy czekają na zaćmienie słońca, stosownie do naszych komunikatów. Jeszcze tylko kwadrans...
— Tylko kwadrans... — mruzczał Mr. Benson.
— Tak — odpowiedział Suthersam. — Z doborze poinformowanych źródeł doszły mnie wieści, że zamierzają mnie wykapkać w smole i wytarzać w pierzu, w razie nieudania się całej historii z zaćmieniem słońca! A Pan? Zostanie po prostu powieszony! No a po-

tem? Rozpocznie się normalny lynch Murzynów. Dość już jednak! Trzeba Panu nareszcie wszystko wytłumaczyć, Panie Szefiel!
— Wytłumaczyć — drżąc powtarzał Benson i opadł w fotel.
— Sprawa jasna jak słońce, które ma się zaciemnić — ciągnął Suthersam. Benson skurczył się w sobie. — Przecież żądał Pan przed swoim wyjazdem, abym powiększył konto bankowe. Pan chyba zna O'Brian'a, właściciela fabryki papy dachowej w Beverly, która stoi przed bankructwem. Przełał na nasze konto okragie 50.000. Wciągnąłem go wspólnie z moim wujem do tego interesu. Wuj mój Harry, reprezentuje „Ubezpieczenie Ogniowe” w Dallas. Ma wyłączność na nasz dystrykt. Nawiasem mówiąc, dobry interes i wspaniale zarabia. Szeryfa Collins'a dobrałem także do tego interesu. W tej chwili przebywa w Beverly, aby móc natychmiast przejąć kierownictwo nad śledztwem z chwilą wybuchu pożaru...
— Jakiego wybuchu pożaru? — pytał drżąc Benson.
— No! Wybuch pożaru w fabryce papy dachowej O'Brian'a. Cała ta buda jest warta najwyżej 50.000. Wujek Harry oszacował ją na okrągły milion. Nielichy interes!
— Człowieku co za gwiazłna idea — przerwał Benson z westchnieniem ulgi.

— Za oknami redakcji tłum zaczął falować. Krzyki i wycia wtarnęły do gabinetu naczelnego redaktora. Benson zerwał się, podbiegł do okna. Krzyczał do Suthersama. Oni chcą nas...!
Suthersam spojrzał na zegarek.

— Tak, tak! Wszystkie pisma są pełne tego! Wszystkie śmieją się z idiotycznego pisma z Arkansas!...
...a my otrzymaliśmy do tej chwili 342 telegamy. Cały świat dopytuje się! To nie jest Prima Aprilis! Chciałbym tylko Panu, Panie naczelny oświadczyć, że w dzisiejszym numerze ukazuje się po raz ostatni artykuł o zaćmieniu słońca. Ostatnie i ostateczne obliczenie naszego astronomicznego współpracownika w sprawie częściowego zaćmienia słońca w dniu 24 marca o godz. 15 minut 25 czasu miejscowego do oglądania, jedynie w Beverly i jego najbliższej okolicy!



— To już graniczy z szaleństwem — rzucił się przy telefonie Benson.
— Nic dziwnego! — odpowiadał Suthersam. — Ale nakład wzrósł o 200 procent!
— Punktualnie o godz. 16 wyciął się w dniu 24 marca, podciąg piespieszny z Saint Louis na dworzec w Basington! Pani Benson i Suthersam, wspólnie oczekiwali naczelnego na peronie.
— Cudownie się opaliłeś! — przywitała pani Benson swego męża. — Z pewnością miałeś cudowną pogodę w Saint Louis? — Wspaniała pogoda — przerwał krótko Mr. Benson i rzucił się w stronę Suthersam'a.

— Stop! — cicho ale dobitnie odezwał się Suthersam — właśnie co otrzymałem z Los Angeles biuletyn informacyjny, przesłany nam przez instytut detektywistyczny „Sherlock”. Mam go nawet przy sobie.
Opalona twarz Mr. Bensa pociemniała jeszcze więcej.
— Mój kochany Suthersam — syczał Benson przez zęby. — Co za radość móc się znowu oglądać! I zgniół jego rękę.
— Tak, tak! Mój mąż i jego podwładni to jedna wielka rodzina — wyszeptala ze wzruszeniem pani Benson, zwracając się z powyższą uwagą do gapiącego się bagażowego.

— Co to za tłum? — pytał Mr. Benson, spoglądając przez okno, gdy tylko znaleźli się w biurach redakcji.
— W tej chwili jest godz. 15.15 — odpowiedział Suthersam. — To są właśnie ludzie, którzy czekają na zaćmienie słońca, stosownie do naszych komunikatów. Jeszcze tylko kwadrans...
— Tylko kwadrans... — mruzczał Mr. Benson.
— Tak — odpowiedział Suthersam. — Z doborze poinformowanych źródeł doszły mnie wieści, że zamierzają mnie wykapkać w smole i wytarzać w pierzu, w razie nieudania się całej historii z zaćmieniem słońca! A Pan? Zostanie po prostu powieszony! No a po-

tem? Rozpocznie się normalny lynch Murzynów. Dość już jednak! Trzeba Panu nareszcie wszystko wytłumaczyć, Panie Szefiel!
— Wytłumaczyć — drżąc powtarzał Benson i opadł w fotel.
— Sprawa jasna jak słońce, które ma się zaciemnić — ciągnął Suthersam. Benson skurczył się w sobie. — Przecież żądał Pan przed swoim wyjazdem, abym powiększył konto bankowe. Pan chyba zna O'Brian'a, właściciela fabryki papy dachowej w Beverly, która stoi przed bankructwem. Przełał na nasze konto okragie 50.000. Wciągnąłem go wspólnie z moim wujem do tego interesu. Wuj mój Harry, reprezentuje „Ubezpieczenie Ogniowe” w Dallas. Ma wyłączność na nasz dystrykt. Nawiasem mówiąc, dobry interes i wspaniale zarabia. Szeryfa Collins'a dobrałem także do tego interesu. W tej chwili przebywa w Beverly, aby móc natychmiast przejąć kierownictwo nad śledztwem z chwilą wybuchu pożaru...
— Jakiego wybuchu pożaru? — pytał drżąc Benson.
— No! Wybuch pożaru w fabryce papy dachowej O'Brian'a. Cała ta buda jest warta najwyżej 50.000. Wujek Harry oszacował ją na okrągły milion. Nielichy interes!
— Człowieku co za gwiazłna idea — przerwał Benson z westchnieniem ulgi.

— Za oknami redakcji tłum zaczął falować. Krzyki i wycia wtarnęły do gabinetu naczelnego redaktora. Benson zerwał się, podbiegł do okna. Krzyczał do Suthersama. Oni chcą nas...!
Suthersam spojrzał na zegarek.

— Tak, tak! Wszystkie pisma są pełne tego! Wszystkie śmieją się z idiotycznego pisma z Arkansas!...
...a my otrzymaliśmy do tej chwili 342 telegamy. Cały świat dopytuje się! To nie jest Prima Aprilis! Chciałbym tylko Panu, Panie naczelny oświadczyć, że w dzisiejszym numerze ukazuje się po raz ostatni artykuł o zaćmieniu słońca. Ostatnie i ostateczne obliczenie naszego astronomicznego współpracownika w sprawie częściowego zaćmienia słońca w dniu 24 marca o godz. 15 minut 25 czasu miejscowego do oglądania, jedynie w Beverly i jego najbliższej okolicy!

— To już graniczy z szaleństwem — rzucił się przy telefonie Benson.
— Nic dziwnego! — odpowiadał Suthersam. — Ale nakład wzrósł o 200 procent!
— Punktualnie o godz. 16 wyciął się w dniu 24 marca, podciąg piespieszny z Saint Louis na dworzec w Basington! Pani Benson i Suthersam, wspólnie oczekiwali naczelnego na peronie.
— Cudownie się opaliłeś! — przywitała pani Benson swego męża. — Z pewnością miałeś cudowną pogodę w Saint Louis? — Wspaniała pogoda — przerwał krótko Mr. Benson i rzucił się w stronę Suthersam'a.

— Stop! — cicho ale dobitnie odezwał się Suthersam — właśnie co otrzymałem z Los Angeles biuletyn informacyjny, przesłany nam przez instytut detektywistyczny „Sherlock”. Mam go nawet przy sobie.
Opalona twarz Mr. Bensa pociemniała jeszcze więcej.
— Mój kochany Suthersam — syczał Benson przez zęby. — Co za radość móc się znowu oglądać! I zgniół jego rękę.
— Tak, tak! Mój mąż i jego podwładni to jedna wielka rodzina — wyszeptala ze wzruszeniem pani Benson, zwracając się z powyższą uwagą do gapiącego się bagażowego.

— Co to za tłum? — pytał Mr. Benson, spoglądając przez okno, gdy tylko znaleźli się w biurach redakcji.
— W tej chwili jest godz. 15.15 — odpowiedział Suthersam. — To są właśnie ludzie, którzy czekają na zaćmienie słońca, stosownie do naszych komunikatów. Jeszcze tylko kwadrans...
— Tylko kwadrans... — mruzczał Mr. Benson.
— Tak — odpowiedział Suthersam. — Z doborze poinformowanych źródeł doszły mnie wieści, że zamierzają mnie wykapkać w smole i wytarzać w pierzu, w razie nieudania się całej historii z zaćmieniem słońca! A Pan? Zostanie po prostu powieszony! No a po-

tem? Rozpocznie się normalny lynch Murzynów. Dość już jednak! Trzeba Panu nareszcie wszystko wytłumaczyć, Panie Szefiel!
— Wytłumaczyć — drżąc powtarzał Benson i opadł w fotel.
— Sprawa jasna jak słońce, które ma się zaciemnić — ciągnął Suthersam. Benson skurczył się w sobie. — Przecież żądał Pan przed swoim wyjazdem, abym powiększył konto bankowe. Pan chyba zna O'Brian'a, właściciela fabryki papy dachowej w Beverly, która stoi przed bankructwem. Przełał na nasze konto okragie 50.000. Wciągnąłem go wspólnie z moim wujem do tego interesu. Wuj mój Harry, reprezentuje „Ubezpieczenie Ogniowe” w Dallas. Ma wyłączność na nasz dystrykt. Nawiasem mówiąc, dobry interes i wspaniale zarabia. Szeryfa Collins'a dobrałem także do tego interesu. W tej chwili przebywa w Beverly, aby móc natychmiast przejąć kierownictwo nad śledztwem z chwilą wybuchu pożaru...
— Jakiego wybuchu pożaru? — pytał drżąc Benson.
— No! Wybuch pożaru w fabryce papy dachowej O'Brian'a. Cała ta buda jest warta najwyżej 50.000. Wujek Harry oszacował ją na okrągły milion. Nielichy interes!
— Człowieku co za gwiazłna idea — przerwał Benson z westchnieniem ulgi.

— Za oknami redakcji tłum zaczął falować. Krzyki i wycia wtarnęły do gabinetu naczelnego redaktora. Benson zerwał się, podbiegł do okna. Krzyczał do Suthersama. Oni chcą nas...!
Suthersam spojrzał na zegarek.

— Tak, tak! Wszystkie pisma są pełne tego! Wszystkie śmieją się z idiotycznego pisma z Arkansas!...
...a my otrzymaliśmy do tej chwili 342 telegamy. Cały świat dopytuje się! To nie jest Prima Aprilis! Chciałbym tylko Panu, Panie naczelny oświadczyć, że w dzisiejszym numerze ukazuje się po raz ostatni artykuł o zaćmieniu słońca. Ostatnie i ostateczne obliczenie naszego astronomicznego współpracownika w sprawie częściowego zaćmienia słońca w dniu 24 marca o godz. 15 minut 25 czasu miejscowego do oglądania, jedynie w Beverly i jego najbliższej okolicy!

— To już graniczy z szaleństwem — rzucił się przy telefonie Benson.
— Nic dziwnego! — odpowiadał Suthersam. — Ale nakład wzrósł o 200 procent!
— Punktualnie o godz. 16 wyciął się w dniu 24 marca, podciąg piespieszny z Saint Louis na dworzec w Basington! Pani Benson i Suthersam, wspólnie oczekiwali naczelnego na peronie.
— Cudownie się opaliłeś! — przywitała pani Benson swego męża. — Z pewnością miałeś cudowną pogodę w Saint Louis? — Wspaniała pogoda — przerwał krótko Mr. Benson i rzucił się w stronę Suthersam'a.

— Jest godz. 15.20. Właśnie co otrzymałem wiadomość z Beverly, że buda O'Brian'a stanęła w płomieniach.
I podczas gdy Benson obserwowował rosnące chmury dymu na horyzoncie Beverly, Suthersam wyjął z szuflady biurka gotowy rękopis, w którym astronomiczny współpracownik „Srebrnego Lwa” Profesor Dr Elias Shmeferer wyrażał swoje ubolewanie, że na skutek ogromnej przesłony dymnej, powstałej przy pożarze fabryki papy dachowej w Beverly — zaćmienia słońca nie można było oglądać!

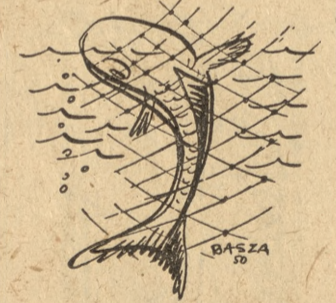
Dwie godziny później, przerzucił Mr. Benson mokrą jęczycze płachtę nadzwyczajnego wydania „Srebrnego Lwa”.
— I w ten sposób — konkludował wstępniak w nadzwy-



czajnym wydaniu — dystrykt nasz poniósł podwójną szkodę. Wskutek olbrzymiego pożaru, było rzeczą absolutnie niemożliwą, uzyskać nowe przyczynki natury naukowej odnośnie zaćmienia słońca, które miało miejsce w rejonie Beverly. (Wyczerpujący w tej materii artykuł prof. dr Elias Shmeferera, naszego znakomitego astronomicznego współpracownika, ukazuje się w wydaniu jutrzejszym!)

Wyrodny krewniak wieloryba pożera tony śledzi i sardynek

Choć tak niewinnie i barwnie w dekoracji z konserw wyglądają wystawy naszych „Centrali rybnych”, nie zawsze droga do okien sklepowych prowadzi znad cichych jezior i rzek, czy nawet wzburzonego Bałtyku. Coraz częściej obok naszego pocziwego śledzia i dorsza zajmują poczesne miejsce w sklepach doskonałe konserwy rybne z ZSRR: skumbria



na wodach północnych. Do rzędu o wiele łagodniejszych stworzeń, ale niemniej niebezpiecznych należy gatunek delfina żyjącego gromadnie na wodach Morza Czarnego i Azowskiego.
W Anapie, na wschodnim wybrzeżu Morza Czarnego, 140 km na zachód w linii powietrznej od Krasnodaru stoi w porcie rybackim kilka statków. Dawniej zwykle barki rybackie wyjeżdżały na los szczęścia i nieszczęścia w niebezpieczną podróż na morze nie na darmo z powodu panujących tu sztormów nazwane „Czarnym”.
Lotnictwo w służbie rybactwa
Dziś każda wyprawa na połow, jakkolwiek statki podnoszą kotwice o nieprzewidzianej godzinie, jest dokładnie zaplanowana i przemysłowa.
Przed wszystkim do pomocy w niebezpiecznych łowach wciągnięto lotnictwo wywiadowcze. Telegrafista w porcie odbiera depesze iskrową.
„Uwaga! Uwaga! Wszystkie placówki połowów na Morzu Czarnym. Samoloty zwiadowcze zauważyły wielkie ławice delfinów płynące w kierunku Morza Azowskiego...”
A komunikat meteorologiczny zapowiada burzę pod wieczór następnego dnia. Mimo, że jest jeszcze noc, Iwan Wasiliewicz, kapitan floty rybackiej w Anapie, nakazuje jednak czterem statkom z „Sokołem” na czele podnieść kotwice.
O szarym brzasku obserwator na statku podaje przez megafon do kajuty kapitań-

skich taki meldunek: „Z lewej burty lotnik”. Rzeczywiście z tego kierunku zbliża się samolot zwiadowczy P. O. 2, który pierwszy podał depeszę odebraną w Anapie. Za chwilę kapitan Wasiliewicz wydaje

na wodach północnych. Do rzędu o wiele łagodniejszych stworzeń, ale niemniej niebezpiecznych należy gatunek delfina żyjącego gromadnie na wodach Morza Czarnego i Azowskiego.
W Anapie, na wschodnim wybrzeżu Morza Czarnego, 140 km na zachód w linii powietrznej od Krasnodaru stoi w porcie rybackim kilka statków. Dawniej zwykle barki rybackie wyjeżdżały na los szczęścia i nieszczęścia w niebezpieczną podróż na morze nie na darmo z powodu panujących tu sztormów nazwane „Czarnym”.
Lotnictwo w służbie rybactwa
Dziś każda wyprawa na połow, jakkolwiek statki podnoszą kotwice o nieprzewidzianej godzinie, jest dokładnie zaplanowana i przemysłowa.
Przed wszystkim do pomocy w niebezpiecznych łowach wciągnięto lotnictwo wywiadowcze. Telegrafista w porcie odbiera depesze iskrową.
„Uwaga! Uwaga! Wszystkie placówki połowów na Morzu Czarnym. Samoloty zwiadowcze zauważyły wielkie ławice delfinów płynące w kierunku Morza Azowskiego...”
A komunikat meteorologiczny zapowiada burzę pod wieczór następnego dnia. Mimo, że jest jeszcze noc, Iwan Wasiliewicz, kapitan floty rybackiej w Anapie, nakazuje jednak czterem statkom z „Sokołem” na czele podnieść kotwice.
O szarym brzasku obserwator na statku podaje przez megafon do kajuty kapitań-



25 lat pracy artystycznej Adama Bilskiego

Adam Bilski, popularny rysownik i karykaturzysta, współpracownik szeregu pism poznańskich — obchodzi w tych dniach 25-lecie pracy artystycznej.

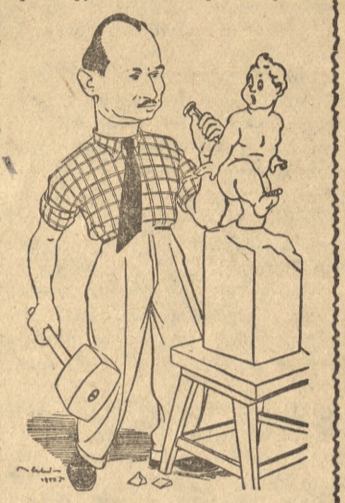
Czytelnicy nasi pamiętają dobrze Adama Bilskiego z licznych rysunków i ilustracji zamieszczanych w „Głosie”. Jego „teka karykaturysty” — będąca bogatym zbiorem cennych portretów ludzi naszej obecnej doby, ludzi nowej rzeczywistości, działaczy politycznych i robotników, działaczy społecznych i pracowników sztuki, teatru, nauki — jest najlepszym obrazem nieprzeciętnego talentu artysty.

Wiemy też ile zdobył sobie sympatii wśród młodzieży i najmłodszych Czytelników „Głosu” za filmy rysunkowe z przegrodami popularnego Śliwki i Kleksa.

Tysiące rysunków, karykatur i ilustracji najróżnorodniejszego zakresu i tematyki — świadczą najlepiej o wszechstronnych możliwościach artystycznych Jubilata.

Tyloletnia współpraca Adama Bilskiego jako artysty plastyka zbliża się jednocześnie z czterdzięcym latem jego pracy w Teatrze Polskim w Poznaniu.

W dniu tego podwójnego Jubileuszu składamy Adamowi Bilskiemu życzenia pomyślnej dalszej pracy.



Jan Żok — art. rzeźbiarz Jeden z najnowszych rysunków Adama Bilskiego

następny rozkaz, według którego „Sokół” w towarzystwie dwóch innych statków udaremni delfinom ewentualną próbę wymknięcia się na pełne morze.

Łowią delfiny jak śledzie

Ławica, licząca w przybliżeniu 4000 delfinów kołuje na razie w pobliżu statków, aż wreszcie zbacza z poprzedniego kierunku i rzuca się do przewidzianej ucieczki na pełne morze. Ale już jest za późno — statki na czas zatoczyły koło i zarzuciły sieci. Widać jak czopki orientacyjne skaczą na powierzchni fal.
Między statkami kołyszą się opuszczone na wodę szalupy. Ławica delfinów jest już uwieczniona w coraz zaciesniają-cym się kole. Kiedyś rybacy, przechyleni przez burtę barked, zwanych „psami gończymi”, ręce zanurzywszy w wodzie, uderzali dwoma kamieniami o siebie, żeby wpędzić ławicę do matni. Dziś używa się w tym celu specjalnie skonstruowa-



nych pistoletów. Wystarczy kilka strzałów by wśród oszalałych drapieżców wzniesić nieopisaną popłoch. Pojedyncze sztuki wynurzają się majestatycznie nad powierzchnię wody, by zaczerpnąć powietrza i zapuścić się w odmetę.

Sieci na 100 metrach głębokości

Ale nawet na głębokości 96 metrów natrafia na przeszkodę w postaci silnej sieci. Koło zaciesnia się jeszcze bardziej. Wreszcie ruszają windy okrętowe i po chwili pierwszy delfin, oszalały z przerażenia pada z sieci na pokład. Po mniej więcej 5 minutach niedawny korsarz czarnomorski jest już niegroźny. Brak wody działa już w tak krótkim czasie do bólczo. Delfin bowiem, podob-

nie jak wieloryb, oddycha otworem nosowym znajdującym się z tyłu głowy. Wystarczy, by śledź np. zatkał przypadkiem ten otwór i by delfin nie mógł uwolnić się od intruza, a w krótkim czasie następuje śmierć. Czarnomorscy rybacy opowiadają, że zdarzają się takie wypadki.
Smar z żuchw delfina
Na pokładzie przygotowuje się złowione delfiny do przeróbki. Wprawdzie mięso — jadalne zresztą — nie trafi do puszek, ale tłuszcz wydobywany z żuchw zasili liczne na świecie instrumentaria. Tłuszcz ten ma bowiem niezwykle właściwości: nie zamarza nawet w najniższych temperaturach i dlatego używa się go jako smaru do precyzyjnych instrumentów, zwłaszcza w czasie wypraw podbiegunowych. Z kłwi delfina fabrykuje się klej, ze skóry wyrabia się obuwie letnie.
Ludność nadmorska bardzo wysoko ceni solone i wędzone mięso delfina. Wątroba uważana jest za przysmak. Ze względu na wielką żarłoczność delfina pochłaniającego niesłychane wprost ilości sardynek, śledzi i innych ryb, ważny jest sam fakt tępienia tego wyrodka wielorybiego gatunku. Obfity połow jest wśród rybaków zasłużoną okazją do żywiołowej radości. Wesoły nastrój panuje więc na pokładzie „Sokoła”.
Ale komunikat meteorologiczny podany wieczorem dnia poprzedniego sprawdza się. Coraz wyżej wspinają się na burtę wściekle bryzgi, dziób pruje wodę, śruby pozostawiają z sobą spieniony ślad. Trzeba zdążyć do Anapy zanim sztorm rozpęta się na dobre. Delfiny, którym się udało ująć z matni na pewno już znowu czują się panami Czarnego Morza. W czasie burzy, groźnej zwłaszcza dla niewielkich stateczków rybackich, lepiej się z nimi nie spotykać.
A. W. W.

Tłoczono: Wielkopolskie Zakłady Graficzne, Przedsiębiorstwo Państwowe Wyd. Reborn. Zakład Główny w Poznaniu. K-1-1960